

Przeszkodzińska-Sobańska, Teresa

Harcerska nas wiodła piosenka : wspomnienia z lat okupacji w Pruszkowie

Przegląd Pruszkowski nr 2, 38-47

1995

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

HARCERSKA NAS WIODŁA PIOSENKA

Wspomnienia z lat okupacji w Pruszkowie

*Gdy świat obecnej doli pozazdrości
Będą czas mieli słuchać o przeszłości.*
(Adam Mickiewicz)

I.

Tak to się zaczęło.



Teresa Przeszkodzińska ps. "EWA"

W noworoczne mroźne przedpołudnie 1942 roku w źle ogrzonym pokoju siedziały okryte swetrami dwie dziewiętnastoletnie dziewczyny.

- Bardzo się cieszę, kochanie - powiedziała jedna z nich, Rozalia Gnoińska, w gronie rodziny i znajomych nazywana Dziką - że będziemy razem pracować. Już dawno nie widziałyśmy się.

- Tak - odpowiedziała druga, gospodyni domu, Teresa Przeszkodzińska. - Rzeczywiście, jakoś nie było okazji i nawet nie wiem, co ty teraz robisz; szkołę już skończyłaś, prawda?

- Tak, w czerwcu, teraz pracuję prywatnie i to bardzo niedaleko ciebie, wpadnij kiedyś do mnie.

- A gdzie pracujesz, że można do cie-

bie przychodzić?

- Pewien inżynier chemik założył wytwórnę sztucznej herbaty i innych surogatów, a przy niej sklep; jestem jego pracownicą. Rozlewam tę herbatę do butelek na zapleczu i stoję za ladą kiedy zjawi się klient, ale mam dużo wolnego czasu. Zresztą mój szef jest towarzyski, nie ma nic przeciwko temu, że ktoś czasem mnie odwiedzi, bo sam lubi porozmawiać, jeżeli akurat jest obecny, bo często wychodzi. Firma mieści się na ulicy Kościuszki w domu doktora W., zaraz przy wylocie twojej ulicy. A ty, co robisz?



Rozalia Gnoińska ps. "WŁADYSŁAWA"

- Skończyłam tak zwane "Kursy Przygotowawcze do Szkół Zawodowych II-go Stopnia" i jak wiesz, na tym, według Niemców, powinnam zakończyć edukację. Uczyłam się w dawnym prywatnym gimnazjum J. Statkowskiej. Przełożona wszystkiego się bała, więc się wycofała ze szkolnictwa, ale zespół nauczycielski z dyrektorką na czele postanowił prowadzić jawnie gimnazjum pod pokrywką tych "Kursów" i tajne liceum. Żeby było mniej niebezpiecznie nazywa się to "szkołą zabawkarską".

- A jakby Niemcy sprawdzili, to skąd weźmiecie zabawki?

- Nie bój się, są nie tylko zabawki ale i dwie instruktorki: jedna uczy wyrobu

miękkich zabawek, druga drewnianych, no a poza tym przerabiamy wszystkie przedmioty, normalny cały program klas licealnych, tylko książek się nie nosi. Te zabawki nawet dobrze mi szły i lubiłam je, ale teraz to się zmieniło.

- Już się nie uczysz?. To byłoby niedobrze!

- Wyobraź sobie, miesiąc temu ktoś ofiarował się załatwić mi dobrą pracę. Ponieważ bardzo przydałoby się coś zarabiać, więc poszłam na próbę. Nauki nie przerwałam, tylko zmieniłam szkołę. Przeszłam na komplety, tu, na miejscu, czyli wróciłam do swojej starej szkoły, którą zaczęłam, to jest do gimnazjum "Zana", które zaczęłyśmy razem.

- Chodzisz na komplety? Na który, z kim jesteś?

- Z Irką i Anią, one też chodziły do Statkowskiej, ale przeszły tutaj, żeby nie jeździć do Warszawy. Ponieważ je znałam wcześniej, poprosiłam dyrektora o przydzielenie mnie na ten właśnie komplet.

- To weszłaś na moje miejsce, bo i ja chodziłam na ten komplet, ale przerwałam.

- Ty? Po co, przecież masz już maturę?

- Tak, handlową, chciałam uzupełnić przedmioty humanistyczne, ale zaczęłam pracować i było mi za trudno. Mówiłaś, że ty też pracujesz?

- Tak, ale nie tam, gdzie zaczęłam. Niemcy nie dali pozwolenia na zatrudnienie nowych pracowników, a w dodatku dowiedzieli się, że chcę pracować i zaraz przysłali mi wezwanie na roboty do Niemiec.

- No i co zrobisz? Przecież nie będziesz chyba czekała, aż po ciebie przyjdą? Może lepiej nie nocuj w domu, wyprowadź się gdzieś!

- Podobno już nic mi nie grozi. Mamy sąsiada, który pracuje w tutejszym "Arbeitsamcie". Jak dostałam wezwanie, moja mama zaraz poszła do niego. Kazał mi przyjść do siebie, do biura.

- A więc byłeś w tym osławionym urzędzie? I jakie wrażenie, co załatwiłaś?

- Wrażenie to robi, nawet na takich interesantach jak ja, bo przecież poszłam do mego sąsiada, a nie do Niemców. Brr... kilka przestraszonych osób z wezwaniem na roboty do Niemiec i wielu kręcących się Niemców. Oczywiście, portret Hitlera prawie na całą ścianę, ogromna swastyka w ogóle obrzydliwość! Powiedział mi sąsiad, że muszę natychmiast zacząć pracować, byle gdzie, ale zaraz. Zabrał to moje wezwanie i obiecał napisać notatkę do Warszawy, że już pracuję. Pogrzebał w kartotece i stwierdził, że w tej chwili tylko pruszkowska filia fabryki Gąseckiego, wiesz - proszki od bólu głowy, sławne "Kogutki" i inne takie rzeczy potrzebuje pracowników. Zaraz, tego samego dnia poszłam tam ze skierowaniem z "Arbeitsamtu" i zostałam przyjęta. Teraz napycham kapsułki i nudzę się straszliwie, ale lepsze to niż wyjazd do Niemiec.

- Dlaczego nudzisz się? Ja uczę się, gdy nie mam pracy.

- Takim to dobrze! Ja noszę wprawdzie notatki w kieszeni fartucha, ale kiedy czasem zajrzę do nich nie przerywając pracy, to nie podoba się to majstrowej. Wiesz, starsza kobieta, sierota od dziecka wychowana w fabryce, miała dziewięć lat, gdy zaczęła pracować. Dziwna kobieta. Godzinami może opowiadać o swoich szefach (stary właściciel i jego pięciu synów) i pedantycznie pilnuje ich interesów. Nawet wtedy, gdy nic tym interesom nie zagraża. Przecież można by zwariować, gdyby siedziało się osiem godzin nie pracując, więc oczywiście pracuję. Na razie nawet bawiła mnie ta praca. Szybko nauczyłam się, a potem dla zabawy czasem urządzałyśmy konkursy, która więcej zrobi. Jest nas w pokoju cztery, wszystkie młode i każda chciałaby jakiegoś urozmaicenia, więc łatwo je namówić. Naszej majstrowej wszystko mało i ciągle nas pogania, no i przeszkadza jej gdy rozmawiamy. Tylko z nią zawsze wolno nam rozmawiać, bo tak naprawdę to i ona się nudzi. Kiedyś jej powiedziałam, że poganianie odnosi odwrotny skutek, bo jeżeli nie będę chciała nic robić, to zorganizuję to tak, że nawet nie będzie miała powodu zwrócić mi uwagi, a roboty nie będzie. Nie uwierzyła, więc jej to udowodniłam. Przez cały dzień obserwowała mnie, a ja miałam ręce stale zajęte, nie odrywałam się od pracy i nic nie mówiłam. Na końcu dnia miałam ćwierć tego, co zwykle. Pokiwała głową, ale wniosków nie umiała wyciągnąć, to już taki urodzony ekonom, tylko w poganianie wierzy, inne argumenty do niej nie docierają. Któregoś dnia opowiedziała nam, jakie to przed wojną miała wzorowe robotnice. Nie rozmawiały, nawet na śniadanie szkoda im było czasu; oczywiście pracowały na akord. Te jej rekordzistki napychały po dwa talerze

kapsulek przez dzień. Na drugi dzień namówiłam dziewczęta i od rana zaczęłyśmy popis. Oczywiście rozmawiałyśmy, a i na śniadanie, a właściwie tę przepisaną przez Niemców zupkę, też poszłyśmy, a na końcu dnia oddałyśmy po trzy talerze kapsulek. Wiesz co powiedziała, że zawsze powinniśmy tak pracować, skoro jesteśmy takie zdolne. Ale to jej pogląd, my uważamy, że to nie miałoby sensu, bo pracujemy wprawdzie na akord, ale naprawdę to właściwie za darmo. To, co mi płacą, akurat wystarczy mi na zapłacenie kompletów i to tylko dlatego, że dyrektor policzył mi najniższą stawkę. Gdyby wszyscy tyle płacili, to wykładowcy na kompletach w krótkim czasie umarliby z głodu. Ale inne niestety, nie stać na wyższą opłatę. Za to nasi panowie fabrykanci mogliby nam płacić więcej ale nie chcą, trzymają się ściśle stawek wyliczonych przez Niemców, a Niemcom ani trochę nie zależy na tym, aby poprawić nasz byt.

- To prawda, ale teraz chcę zapytać cię o najważniejsze: czy twoja mama wie, że masz zamiar wstąpić do organizacji?

- Nie, wolałam jej nie mówić, mama i tak boi się, kiedy ja, albo Baśka gdzieś wychodzimy, gdyby wiedziała, bałaby się jeszcze bardziej.

- U mnie to samo. Lepiej nie mówmy naszym mamom, dokąd się tylko da. Bałam się, że mama zechce dzisiaj posiedzieć tu z nami, porozmawiać, ale na szczęście tu jest zbyt zimno, no i mama ma zawsze jakąś domową robotę, bo przecież w powszedni dzień pracuje i nie ma za wiele czasu.

- Wiem, że ma tu przyjść Janek, czy będzie ktoś prócz niego?

- Mówił, że przyprowadzi swojego szefa... O, właśnie ktoś dzwoni.

Teresa pobiegła do drzwi i po chwili wróciła w towarzystwie dwu mężczyzn. Jeden z nich, trzydziestoletni wysoki blondyn przywitał się z dziewczętami i wskazując na nieco starszego swego towarzysza powiedział:

- To jest mój szef, a od dziasiaj i wasz, więc oddaję mu głos.

Był to człowiek z wyglądu poważny, surowy, o skupionym wyrazie twarzy. Przyjrzał się dziewczętom i powiedział:

- Jan mówił mi, że chcecie panie pracować w "Szarych Szeregach". Jest to organizacja harcerska, o harcerstwie zapewne coś tam wiecie. Teraz oczywiście mamy nieco inne cele, rozszerzone o sprawy wojny, ale poza tym jest to to samo harcerstwo.

Głowy dziewcząt skłoniły się w milczącym potwierdzeniu.

- A więc jesteście zdecydowane. Będziecie na tym terenie pierwszymi kobietami, bo ja jestem hufcowym hufca męskiego, żeńskiego dotąd nie było tutaj. Jeżeli nie rozmyśliłyście się, to odbiorę od was przysięgę.

- Nie, nie rozmyśliłyśmy się, odpowiedziały z przekonaniem dziewczęta, nieco speszone obcesowością wypowiedzi.

- Proszę więc związać ręce w harcerski krąg - pokazał im na czym to polega - i powtarzać za mną.



phm.Stefan Kowalski ps. "JARON"

Wyjął z kieszeni mały krzyżyk i krzyż harcowski położył je na stole i zaczął uroczystie wygłaszać tekst ślubowania harcowskiego dostosowanego do warunków wojny, a dziewczęta powtarzały za nim:

- Mam szczerą wolę służyć w Szarych Szeregach, tajemnic organizacji i wojskowych strzec, rozkazy przełożonych sumiennie wykonywać, a w razie potrzeby nie cofnąć się przed ofiarą życia. Tak mi dopomóż Panie Boże Wszechmogący i niewinna Syna Jego męka.

- Jesteście przyjęte, wymieńcie pseudonimy. Ja nazywam się "Jarocki" albo "Jaroń", mój zastępca, którego znacie, to "Jan Zielony", a wy?

- "Ewa" - odpowiedziała Teresa, gospodyni domu.

- Władysława - przedstawiła się jej

koleżanka, Rozalia zwana Dzidką.

- Skoro załatwiliśmy sprawę formalną, przejdźmy do tej najważniejszej pracy. Trzeba zwolnić chłopców od noszenia prasy, bo są przeciążeni szkoleniem i innymi sprawami, więc umówicie się między sobą, która to będzie robiła. Zajmie się wami "Zielony", on jest odpowiedzialny za prasę i wywiad, a wy mu w jednym i drugim pomożecie. Jeżeli chodzi o sprawy harcowskie - zwrócił się do Jana - to chyba przekazać je żonie, bo ja nie znam się na szkoleniu kobiet. Liczę, że ty jej w tym pomożesz, bo ona, jak wiesz, nie zawsze jest w stanie wychodzić z domu. To chyba wszystko. Czy może są jakieś pytania?

- Pytania nie - zaczęła nieśmiało "Ewa" - ale ze względu na to, że pracuję i uczę się, mam niewiele czasu, proszę o chwilowe zwolnienie mnie z obowiązku szkolenia harcowskiego, wszystkie inne, oczywiście, będę wykonywać...

- Już się zaczyna - mruknął niechętnie "Jarocki" - a mówiłem, że lepiej z kobietami nie zaczynać. To już uzgodnił pani z "Zielonym" i moją żoną. Teraz czas na nas, do widzenia. Odprowa-



Tadeusz Jaroń ps. "JAR"

dzisz mnie? - zwrócił się do "Jana", mam jeszcze z tobą do omówienia kilka spraw.

- Oczywiście - odparł "Jan" i zwracając się do dziewcząt oznajmił:

- Jutro wpadnę do każdej z was i omówimy współpracę.

II.

Powszedni dzień.

Dni toczyły się szybko i nawet pory roku przechodziły jakoś niezauważalnie.

Bo i cóż z tego, że jest wiosna, czy lato, gdy nie ma czasu na to, by odetchnąć świeżym powietrzem. Do tego dochodziła tak zwana godzina policyjna.

W zimie tylko czasem budził się protest przed przymusowym siedzeniem w domu, bo nieoświetlone ulice nikogo nie pociągały, łatwiej więc było znosić fakt, że od godziny dwudziestej nie wolno było pojawić się na ulicy. W lecie godzina policyjna przeważnie bywała przesuwana na dwudziestą drugą, ale i to bardzo męczyło. O tej porze w pełni lata jest jeszcze widno i właśnie dopiero o zmierzchu, po upalnym dniu, robi się na dworze przyjemnie. A wtedy trzeba było wracać do domów. To było bardzo irytujące. Niezależnie od tego ludzie bali się nocy, pory, kiedy dokonywano aresztowań.

W dzień zajęcia, rozmowy i normalny ruch, którego wojna nie była w stanie całkowicie sparaliżować, odwracał uwagę, nie pozwalał nastłuchiwać. W nocy każdy przejeżdżający samochód budził mieszkańców wzdłuż całej trasy przejazdu, ludzie zrywali się, biegli do okien, w każdej chwili spodziewając się nieszczęścia. Dzień przynosił pewne odprężenie, a przebywanie w miejscu pracy dawało gwarancję względnego bezpieczeństwa. Ale właśnie w pracy czas dłużył się okropnie. Młode dziewczęta, jeszcze nie wciągnięte w tryb maszyny akordowej, nawet chętnie wykonywały swoją pracę, ale chciałyby czasem porozmawiać, czy pośmiać się, a tego im zabraniano. Wiedziały dobrze, że zabraniano im tego bezmyślnie, że ich praca nie tylko nie ucierpiałaby na tym, ale przeciwnie, przy mniejszym znużeniu ręce ruszałyby się sprawniej. Cóż, kiedy właściciele fabryki mieli własny pogląd na tę sprawę, a ich przedstawicielka surowo przestrzegająca, aby wszystko było zgodne z wolą szefów. Samych szefów "Ewa" nawet nie знаła. Właściwie pruszkowski oddział fabryki podczas wojny nie pracował, hale produkcyjne stały puste i zaniedbane, a czynne były tylko wykończalnie. Właściciele mieli drugą fabrykę w Warszawie i tam urzędowali. W starym zakładzie zastępował ich dyrektor, który też nie miał za wiele zajęcia.

W Warszawskiej fabryce Gąseckiego magazyny były pełne wyprodukowanych przed wojną specyfików, które stamtąd przywożono workami raz na tydzień. Dziewczęta nabijały je w kapsułki i pakowały do torebek. Najmłodsze pracownice nie wytrzymały siedzenia kamieniem przez osiem godzin, więc aby choć na chwilę wstać, wyprostować się, wybiegały co jakiś czas do sąsiadującej z ich pracownią kuchni, aby umyć ręce, lub do znajdującej się daleko na podwórzu ubikacji.

"Ewa" bardzo dotkliwie odczuwała narzucony jej przymus, tym bardziej, że uważała go za zupełnie bezsensowny.

Ale tego dnia było inaczej. Rano, gdy tylko wyszła z domu, spotkała przed domem "Jana". Czekał na nią, jak to zdarzało się zawsze, kiedy miał dla niej jakieś polecenie.

- Mam taką trudną sprawę - powiedział - może ty potrafisz ją załatwić. Mamy dostać bardzo ważny meldunek, czekamy na niego już trzy dni, a jest pilny. Wysyłałem kolejno cztery osoby i ciągle nic z tego.

- Jak to, nic z tego? Nie przyszedł ten ktoś?

- Nie o to chodzi. Jest do odebrania przesyłka w banku. Starsza pani w okienku miała po wymienieniu hasła podać odzew i oddać kopertę. Cały kłopot w tym, że ona nie odpowiada na hasło. Myślałem, że może pomyłono okienka, że zwrócono się do innej urzędniczki, ale teraz obawiam się, że ona po prostu nie pamięta odzewu, a my ciągle czekamy. Więc może ty będziesz umiała wydusić z niej odzew?

- Spróbuję, a jak on brzmi?

- Masz podejść do okienka i powiedzieć, że chciałybyś rozmawiać z panią Marią, a kiedy odpowie, że to ona powiedzieć: "Pan Hilary, prosi o wyciąg ze swego konta". Na to ona powinna odpowiedzieć "Proszę pozdrowić go ode mnie, dawno go nie widziałam". Ona jednak, słysząc hasło, robi zdziwioną minę, więc łącznik odchodzi nie załatwiwszy sprawy. Proszę cię, tu jest kartka z adresem. Może tobie się uda, albo machnij na odzew ręką, jeżeli się upewnisz, że to ona, poproś ją o oddanie przesyłki.

- Dobrze, postaram się, tylko największy kłopot z tym, że muszę się zwolnić z pracy, a to bardzo trudne i przykre. Duże instytucje są pod nadzorem niemieckim, mają komisarzy, którzy pilnują dyscypliny i na to nie ma rady, ale ja pracuję przecież w małej prywatnej fabryce, zatrudniającej raptem piętnaście osób w wykończalni, dwie majstrowe, cztery osoby w biurze, dwie kucharki i dyrektora. Niemców nic nie obchodzi, co się u nas dzieje, a mimo to właściciel skrupulatnie przestrzega przepisów niemieckich i wykorzystując fakt, że nikt nie zwolni się, bo zanim znajdzie coś innego, mógłby być wysłany na roboty.

- Cóż robić, tak to jest w prywatnych fabrykach, właściciel chce zarobić i nic więcej go nie obchodzi.

- A jednak nie wszyscy fabrykanci tak postępują, u nas mówi się, że ten należy do najgorszych. Dlatego właśnie nikt do niego się nie zgłasza

dobrowolnie, przychodzą tylko przysłani z "Arbeitsamtu" tacy, co jak ja, muszą prędko zacząć pracować.

Tego dnia Ewa napełniała kapsułki rozmyślając, jak tę sprawę załatwić. Pracowała do 15.30 a banki do 15-tej, więc nie mogła jechać tam po pracy, postanowiła więc zwolnić się od południa, to znaczy od przerwy obiadowej. Spojrzała na majstrową siedzącą koło niej i pogrążoną w jakichś rachunkach.

- Czy pani mogłaby zwolnić mnie dzisiaj o dwunastej? - zapytała.

Majstrowa spojrzała na nią zdziwiona.

- Zwolnić panią? Nie, ale jeżeli to konieczne, to niech pani idzie do dyrektora. Najlepiej zaraz po obiedzie, bo potem pewnie pójdzie do domu. Ale on bardzo nie lubi zwalniać!

Ewa spojrzała na zegarek, było już po jedenastej. A więc za pół godziny zadzwonią na przerwę.

Gdy usłyszała głos dzwonka, umyła ręce i poszła do jadalni na "obiad", to znaczy na zupełną, ale dość gęstą i w opinii osób, które przedtem pracowały w państwowych fabrykach "dobrą".

"Ewie" zresztą zupy te również smakowały, bo w domu nie miała nawet takich.

Przerwa obiadowa trwała pół godziny, czasu tego wystarczało na zjedzenie zupy, a nawet na zaczerpnięcie świeżego powietrza lub rozmowę. Nawet w zimie nie wracano do wykańczalni przed upływem trzydziestu minut, tylko stano rano podwórzu lub w sieni.

"Ewa" szybko zjadła zupełną i zajrzała do biura. Zobaczyła, że dyrektor jeszcze je. Poczekala więc kilka minut, a potem weszła do dużej sali biurowej. W jednym jej końcu, stało odsunięte nieco i odgródzone barierką tak, aby wydawało się, że to oddzielny pokój - biurko dyrektora.

Spojrzał zdziwiony na wchodzącą. Nie wiele miał do czynienia z robotnikami i wcale nie znał ich.

- Pani do mnie?

- Tak, panie dyrektorze, chciałam prosić o zwolnienie mnie dzisiaj z połowy dnia, mam do załatwienia ważną sprawę osobistą.

Dyrektor był wyraźnie w złym humorze.

- Sprawy osobiste, proszę pani, załatwia się po pracy. Gdybym chciał każdą z pań zwalniać dla jakichś jej ważnych spraw, to nie miałby tu u nas kto pracować!

- Ja, panie dyrektorze, nie opuszczam pracy i nie zwalniałam się jeszcze nigdy, chociaż pracuję już kilka miesięcy, a dzisiaj koniecznie muszę mieć tych kilka godzin.

- Ja jednak nie mogę pani zwolnić. Gdybym tak ciągle kogoś zwalniał, to właściciele poszliby z torbami.

- Przecież ja i tak nie będę miała zapłacone za te godziny, zawsze wytrącaćie zwalnającym się; to raczej my nie mamy z czego żyć i bez zwolnień, przy takich zarobkach, a jednak z torbami nie wybieramy się.

Dyrektor zrobił się czerwony ze złości, zerwał się z krzesła, oczy wybałuszył i wrzasnął.

- A obiad pani jadła?

- Tak, pracowałam przecież do tej pory.

- Taka to jest właśnie wasza uczciwość. Nie pracować, zwalniać się, ale na obiedzie was nie brakuje. A nie pomyślała pani, że to nieuczciwie wobec pracodawcy, że to okradanie go?

"Ewa" na chwilę zaniemówiła z wrażenia, stała blada i patrzyła na tego sytego człowieka, któremu mimo wojny niczego nie brakowało i nie wiedziała, jak do niego przemówić. Zrozumiała, że żaden argument do niego nie trafi, bo jego "sprawiedliwość" jest inna niż jej.

- Ja jednak muszę dzisiaj wyjść, panie dyrektorze i wyjdę - powiedziała cicho - a tej zupy nie ukradłam, tylko na nią codziennie pracuję. Do widzenia panu.

Nie chciała już pytać, czy ją zwalnia, była zdecydowana wyjść bez względu na konsekwencje, ale on widać zorientował się, że przeholował, bo zawołał za nią:

- Niech już pani idzie, ale żeby to było ostatni raz!

Całej tej rozmowie przysłuchiwała się jedyna obecna w biurze osoba, młoda pomoc biurowa, Mirka. "Ewa" nawet jej nie zauważyła. Bardzo zdenerwowana pobiegła do pawilonu wykańczalni, a tu okazało się, że już jest po dzwonku na koniec przerwy obiadowej i na dole nikogo nie ma. "Ewa" oparła głowę o futrynę drzwi wejściowych i rozplakała się. Po chwili poczuła, że ktoś bierze ją za rękę. Podniosła głowę i zobaczyła Mirkę.

- No i czego się pani tak zaraz przejmuje? Przecież wszyscy wiedzą, że dyrektor jest nerwowy i przykry, ale żeby z tego powodu płakać?

- Nazwał mnie złodziejką z powodu tej zupy! Słyszała pani.

- No to co, powinna się pani z tego śmiać, przecież i tak każdy wie, że pracujemy darmo. Ale ja tu przyszłam, żeby panią wypuścić, bo szafa już zamknięta. Idę do majstrowej po klucz.

Rano bowiem zostawiało się płaszcz i torebki w szafie, którą majstrowa zamykała na klucz i nosiła ten klucz w kieszeni tak, że bez jej wiedzy nikt nie mógł wyjść z fabryki. Mirka miała obowiązek asystowania przy opuszczaniu fabryki i rewidowania wychodzących.

"Ewa" mogła wreszcie pobiec do pociągu, za pół godziny była w Warszawie, a za następne kilkanaście minut wchodziła do sali bankowej. Było tu pusto i cicho. Nieliczni interesanci gubili się w wielkiej sali. Okienko, do którego podeszła "Ewa" było puste i z jednej i z drugiej strony. Chwilę poczekała zanim zjawiła się starsza pani i usiadłszy za okienkiem spytała, czego sobie życzy.

- Chciałam rozmawiać z panią Marią - powiedziała "Ewa" zgodnie z hasłem.

- To ja jestem.

- Pan Hilary prosi o wyciąg ze swego konta.

- Dobrze - kiwnęła głową pani Maria i spojrzała na "Ewę" z wahaniem.

- Czy może mam mu coś powiedzieć? - "Ewa" usiłowała naprowadzić urzędniczkę na ustalony odzew.

- A tak, - ucieszyła się pani - proszę go pozdrowić!

"Ewa" długo, uważnie popatrzyła jej w oczy i cicho powiedziała:

- Dawno go pani nie widziała, czy tak? Proszę o tę kopertę!

Otrzymawszy ją popędziła na dworzec.

Miała akurat tyle czasu, aby spotkać wracającego z pracy "Jana" i oddać mu obciążający dokument, a potem pomaszerować na drugi koniec miasta na lekcje.

Droga była długa, ale nie bezowocna. Przechodziła koło trzech punktów, gdzie kwaterowali Niemcy i które ona miała pod swoją "opieką". Chodząc tak dwa, albo więcej razy dziennie i uważnie obserwując to, co dało się zauważyć z ulicy, wiedziała, ilu tu kwateruje żołnierzy, ilu podoficerów, jaką mają broń, jak często i w jakim kierunku wyjeżdżają. Martwiła się tym, że te wiadomości są bardzo niekompletne, ale nie umiała znaleźć żadnego sposobu, by dowiedzieć się czegoś więcej. Niemcy stacjonowali w wysiedlonych szkołach lub biurach, nikt nie mieszkał w ich sąsiedztwie, nie było sposobu zajrzeć do środka ich siedzib. Chcąc wykorzystać każdą chwilę czasu, trasę z pracy na komplety wybierała tak, aby po drodze obejrzeć każdy "swoją" punkt. Wracając z kompletów, rzucała na nie jeszcze raz okiem i najczęściej trafiała na wieczorny apel. Wtedy wszyscy stali na dworze i najłatwiej było ich policzyć. Byli w pełnym rynsztunku, więc wiedziała, jak byli uzbrojeni. Ciężki sprzęt jak czołgi, czy armaty - stały zawsze na zewnątrz budynków i były dostępne dla oczu, podobnie jak samochody. Nie знаła się na stopniach i rodzajach niemieckiej broni, ale wiedziała, że jeżeli dokładnie je opisze, polskie władze podziemnej armii łatwo je rozszyfrują. Poza tym Niemcy mieli zwyczaj wystawiać przed miejscem kwaterowania tablice informacyjne. Widocznie uważali, że "podludzie" nie znają języka niemieckiego i nic z nich nie zrozumieją.

"Ewa" tylko przez rok uczyła się w szkole niemieckiego, kiedy na "kursach" skasowano francuski wprowadzając początki niemieckiego. Miała trudności z odczytaniem gotyckich napisów, ale uważnie oglądając tablice kilka razy dziennie jakoś potrafiła skopiować tekst.

Meldunki oddawało się raz na tydzień. Ponieważ było już późno, więc tylko sprawdziła, czy pojawiły się jakieś nowe samochody i poszła na lekcje.

Do domu wracała o godz. 21-ej, tuż przed godziną policyjną, bardzo zmęczona i głodna.